

# „Cela śmierci”, której nie było

30 kwietnia 2018

Pomieszczenie, w którym „karany na gardle” skazaniec czekał samotnie na egzekucję to mit. W rzeczywistości przed więźniem do ostatniej chwili ukrywano, że właśnie idzie na szubienicę. Co właściwie wiemy o karze, od której w PRL cierpieli na równi groźni kryminaliści, ofiary prawodawstwa i... sami kaci?

Śmiertelną machinę uruchamiał prawomocny wyrok sądu. Po wyczerpaniu możliwości odwołania Prokuratura Generalna kierowała jeszcze zapytanie do Rady Państwa, czy ta nie chciałaby skorzystać z prawa łaski. Gdy przychodziła odpowiedź odmowna, sąd pierwszej instancji określał datę wykonania kary śmierci – ustawowo dziesięć do dwunastu dni od wydania postanowienia w tej sprawie. Na terenie Polski funkcjonowało dziewięć zakładów karnych, w których odbywały się stracenia: w Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Łodzi, Wrocławiu, Katowicach, Szczecinie, Rzeszowie i Gdańsku.

Katów na cały kraj było jednak tylko dwóch. Ich tożsamość wraz z końcem okresu stalinizmu utajniono i dokładano wszelkich starań, aby cały proces egzekucji przeprowadzić w możliwie największej dyskrecji. Wykonawcy wyroków na co dzień pracowali w swoich zawodach, nie mających nic wspólnego z karą śmierci. O ich „sekretnym życiu” nie wiedział nikt, nawet najbliższa rodzina. Znani byli zaledwie kilkunastu osobom w kraju, głównie naczelnikom więzień. O kolejnym „zleceniu” kata informowano dyskretnym telegramem, który dodatkowo – na wszelki wypadek – pisany był szyfrem. Następnie zgłaszał się on do wyznaczonej osoby w Centralnym Zarządzie Zakładów Karnych w Warszawie. Stamtąd, wraz z fałszywym dokumentem tożsamości, wyruszał do wskazanego więzienia. Na miejsce docierał zwykle na dzień przed planowaną egzekucją. Naczelnik przekazywał mu akta skazańca oraz klucze do pomieszczenia, w

którym znajdowała się szubienica.

## **WYBRAŃCY Z PRZYPADKU**

Jak można było zostać katem? Okazuje się, że nawet przez przypadek. Tak właśnie było z ostatnim wykonawcą wyroków w PRL, który w rozmowie z Jerzym Andrzejczakiem opowiedział swoją historię. W czasie odbywania służby wojskowej otrzymał on przydział do plutonu egzekucyjnego. Dalej miał po prostu pecha. Pewnego dnia – już w cywilu – zapukał do jego domu pracownik resortu spraw wewnętrznych, składając mu „propozycję nie do odrzucenia”. Przed rozpoczęciem pracy należało przejść półroczne szkolenie. Obejmowało ono nie tylko kwestie techniczne, jak anatomia człowieka, fizyka czy prawo. Poprzez zajęcia z etyki miało ono też w jakimś stopniu przygotować na obciążenia psychiczne, związane z zabijaniem ludzi. Na koniec kursant składał przysięgę: „Zobowiązuje się wykonywać wyroki śmierci jako prace zlecone i utrzymywać w ścisłej tajemnicy wszelkie wiadomości związane z wykonaniem tych czynności i w żadnych okolicznościach nie ujawniać tej tajemnicy.”

Zresztą nie tylko przysięga skłaniała do zachowania dyskrecji. Jak mówił rozmówca Andrzejczaka: „Sądzę, że nie miałbym łatwego życia, gdybym nie robił z tego tajemnicy. Na pewno nie byłbym mile widziany przez przyjaciół i znajomych”. Przepisy określały też właściwy „strój roboczy”. Składały się na niego: czarny garnitur, wraz z krawatem i skarpetkami w tym samym kolorze, oraz biała koszula i rękawiczki. Twarz wykonującego wyrok, zgodnie z wielowiekową tradycją, powinna być zasłonięta.

## **PRACA PROFESJONALISTY**

Kat w celi z szubienicą przystępował do pracy. Chociaż sama egzekucja trwała zaledwie chwilę, należało się do niej odpowiednio przygotować. Stosowaną w Polsce (i powszechnie w Europie) techniką wieszania była, uznawana za najbardziej humanitarną, metoda tzw. „długiego sznura”. Gdy pod skazańcem

otwierała się zapadnia, ten spadał na luźnym jeszcze sznurze. Gdy lina się naprężyła, na ciało zaczynała działać grawitacja, powodując rozerwanie kręgów szyjnych (czyli skręcenie karku) i w efekcie natychmiastową śmierć. Nieumiejętnie wykonany wyrok mógł jednak prowadzić do makabrycznych konsekwencji. Źle dobrana długość sznura skutkowała nieprzerwaniem kręgów i trwającym nieco dłużej uduszeniem – jeśli ofiara okazała się zbyt lekka. Gorzej, jeśli skazany był za ciężki. Wtedy mogło skończyć się zerwaniem stryczka lub nawet oderwaniem głowy.

Długość liny względem wagi więźnia kat ustalał dzień przed egzekucją, na podstawie przygotowanej specjalnie do tego celu tabeli. Następnie przeprowadzał próbę mechanizmu z użyciem wypełnionego ciężarami worka. Sznur można było też wygotować, aby ograniczyć jego rozciągliwość, oraz namydlić, by pętla szybko się zaciskała. Konstrukcja śmiertelnej pułapki była prosta – podwyższenie z zapadnią, pod nią zaś dziura w podłodze. W niej umieszczano miskę na wydzieliny, wydobywające się z ciała skazańca w momencie wykonywania wyroku. Do tego haki, na których mocowano linę i dźwignia uruchamiająca mechanizm. Podobnie minimalistyczne było całe pomieszczenie: podłoga w kafelki, białe ściany i sufit oraz małe, zakratowane okienko. Do celi z lewej i prawej strony przylegały dwa pomieszczenia. Jedno, z umywalką, dla katów, w drugim skazaniec mógł się wypowiadać czy napisać list. Gdy wszystko było już gotowe, odpowiedni sznur pieczętowano w kopercie na następny dzień. Pozostawało poczekać na więźnia.

## **WĄTPLIWA ETYKA, WĄTPLIWE WYROKI**

Czy wszyscy skazani na śmierć byli rzeczywiście winni? Żaden z uśmierconych po 1956 roku przestępców nie został do tej pory oficjalnie rehabilitowany, ale wokół niektórych wyroków wciąż krążą wątpliwości. Nie do końca wyjaśniona została sprawa „Wampira z Zagłębia” z lat 70. Mecenas Władysław Siła-Nowicki do końca życia obstawał zaś przy niewinności części ze skazanych w głośnych procesach o wielokrotne morderstwo z lat 80. Inną kwestią jest zasadność karania na gardle w niektórych

wypadkach. W PRL zawisnąć można było nie tylko za morderstwo, ale też na przykład za... nielegalny handel walutą. Łącznie na tle kryminalnym i gospodarczym w kodeksie figurowały dwadzieścia cztery przestępstwa karane śmiercią. Nazwano je „wyjątkami, niepozostającymi w sprzeczności z humanizmem socjalistycznym”.

Ustawodawca mocno wierzył w odstraszającą moc szubienicy. Jednak tej opinii nie podzielał ogół społeczeństwa. W 1964 roku Ośrodek Badania Opinii Publicznej stwierdził, że tylko około połowa Polaków jest za karą śmierci. Co więcej – w potencjalnym referendum stryczek najprawdopodobniej zostałyby zniesione, chociaż duży był też procent wahających się.

Przy okazji każdego głośniejszego stracenia i reformy kodeksu karnego z 1969 roku nad sprawą żywo dyskutowały środowiska naukowe i prawnicze. W 1966 roku profesor Marian Cieślak na łamach „Państwa i Prawa” otwarcie skrytykował karę śmierci, stwierdzając, że „coraz bardziej pali jej się grunt pod nogami”. Doradczący aparatowi władzy profesor Leszek Lernell sprzeciwiał się karaniu stryczkiem za przestępstwa gospodarcze, natomiast profesor Tadeusz Kotarbiński zwracał uwagę na fakt, że śmierć przekreśla możliwość aktywnego odpracowania wyrządzonej krzywdy. Nawet Igor Andrejew, w latach pięćdziesiątych sędzia Sądu Najwyższego i jeden z zatwierdzających wyrok na gen. Augustie Emilu Fieldorfie „Nilu”, pisał: „Trzeba nie mieć zupełnie wyobraźni, aby być zwolennikiem kary śmierci”. Biuro Polityczne KC PZPR było głuche na te głosy i w 1987 roku miało zamiar najwyżej „analizować celowość” uśmiercania w majestacie prawa. Czego zresztą zrobić nie zdążyło.

## **PRAWDZIWA „CELA ŚMIERCI”**

Niemal do końca PRL skazańcy ginęli więc na szubienicach. Ofiary nie znały daty swojej egzekucji. Nie trzymano ich też w tzw. „celach śmierci”, a pomiędzy skazanymi za ciężkie przestępstwa więźniami. Chodziło o to, aby do ostatniej chwili

powstrzymać ewentualne odruchy obronne. Gdy nadchodził czas, pracownicy służby więziennej wyprowadzali skazańca pod pretekstem wizyty u lekarza czy wychowawcy. Na zewnątrz zostawał obezwładniony i w towarzystwie kordonu, zwanego „atandą”, doprowadzano go do prawdziwej „celi śmierci” – miejsca wykonania wyroku. Więźniowi miał prawo towarzyszyć ksiądz. Co ciekawe, niezwykle rzadko zdarzało się, by skazaniec odmawiał takiej posługi. Ksiądz Hieronim Lewandowski, który jako kapelan w Poznaniu w latach 1945-56 uczestniczył w trzydziestu egzekucjach, relacjonował: „Przy wykonywaniu wyroku zawsze byłem przy skazanym do końca. Razem udawaliśmy się do „sieczkarni”, zwykle mogłem trzymać skazańca za ramię, z drugiej strony siedł strażnik. Niektórzy więźniowie szli spokojnie, niektórych jednak strażnicy musieli prawie wlec. [...] W drodze podpowiadałem modlitwy, akty strzeliste.”

Kiedy ofiara nie chciała zachować spokoju, na korytarzach odgrywały się dantejskie sceny. Skazańcy wyrwali się, gryźli, kopali i przeklinali swoich oprawców w ostatnich desperackich próbach ratowania życia. Funkcjonariusz więzienny z Gdańska wspominał: „Dziw brał, jaka siła wstępowała w tych nieszczęśników przed wejściem pod szubienicę. [...] Walczyli jak zwierzęta”. Najbardziej opornych trzeba było zakuć w kaftan i wlec po ziemi niczym worek ziemniaków.

Na miejscu odczytywano więźniowi wyrok i informowano, że Rada Państwa nie skorzystała z możliwości ułaskawienia. Skazaniec miał ustawowe prawo do ostatniego życzenia. Nawet więcej niż jednego, o ile nie uwłaczało to powadze chwili i nie przeciągało sprawy dłużej niż godzinę. Zwykle kończyło się więc na spowiedzi, liście pożegnalnym i ewentualnie papierosie. W chwili śmierci skazaniec musiał być też w pełni świadomy, więc nie wchodziły w grę żadne środki psychoaktywne. Jedynym wyjątkiem była możliwość wydania na prośbę wieszanego leków uspokajających. Przed wejściem do pomieszczenia z szubienicą zasłaniano ofierze oczy. Potem pomocnik kata

zakładał stryczek – przepisowo pętla miała znajdować się nad lewym uchem – i następowało zwolnienie zwolnienie zapadni.

## **OFIARY I KONSEKWENCJE**

W ciszy czekano dwadzieścia minut – tyle według regulaminu miał wisieć skazaniec. Następnie lekarz orzekał zgon. Mimo, iż zwykle zabijało skręcenie karku, regułą było podawanie jako przyczyny śmierci „ostrej niewydolności krążeniowo-oddechowej”. Ciało składano do przygotowanej wcześniej trumny. Odbierała ją rodzina (która nie miała prawa być przy egzekucji), a w przypadku jej braku chowano zmarłego na koszt państwa. Kwatery więziennych wisielców podpisywano zwykle N/N i rozsiewano w różnych punktach lokalnego cmentarza.

Co robił natomiast kat? Według relacji zwykle szedł na dużą wódkę. Ciężar psychiczny sytuacji robił swoje, tym bardziej, że kat nie mógł zwierzyć się choćby najbliższemu. Nawet zwykłym strażnikom egzekucja spędzała sen z powiek. Jeden z nich wspominał: „Byłem pięć razy przy tym. Upłynęły dziesięciolecia, a mnie śnią się nadal ci ludzie”. Ofiarami kary śmierci stawali się również jej wykonawcy. Dopadały ich koszmary, alkoholizm, a nawet – jak w przypadku rozmówcy Andrzejczaka – samobójstwa. Oto rzadziej wspominana strona pozbawiania życia w majestacie prawa.

W latach 1956-1988 stracono w PRL łącznie 321 osób. W tej liczbie nie było ani jednej kobiety, choć zapadały na nich wyroki za morderstwa. Dokładna liczba więźniów zabitych przed rokiem 1956 nie jest znana. Wykonywanie najwyższego wymiaru kary zawieszono w 1988 roku, a szubienica zniknęła całkowicie z polskiego prawodawstwa w roku 1997. Jednak do dzisiaj wiele spraw z nią związanych pozostaje niewyjaśnionych.

Autorstwo: Mateusz Balcerkiewicz

Źródło: [Histmag.org](http://Histmag.org)

Licencja: [CC BY-SA 3.0](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/)

## **BIBLIOGRAFIA**

1. Andrzejczak Jerzy, „Spowiedź polskiego kata”, K.M.S.O., Warszawa 1992.
2. Grześkowiak Alicja, „Kara śmierci w polskim prawie karnym”, Wydawnictwo UMK, Toruń 1982.
3. „Kara śmierci w PRL”, [w:] infor.pl, 14 lipca 2011, dostęp: 25 kwietnia 2018, <http://www.infor.pl/prawo/prawo-karne/ciekawostki/87633,4,Kara-smierci-w-PRL.html>.
4. Kowalik Helena, „PeeReL zza krat. Głośne sprawy sądowe z lat 1945-1989”, PWN, Warszawa 2018.
5. Podemski Stanisław, „Pitawał PRL-u”, Iskry, Warszawa 2006.